



Drogi (między)krzyżowe

Agata PUŚCIKOWSKA

agata.puscikowska@gosc.pl

Marcowe, podlaskie drogi już rozmarzły. Przejechać trudno, samochód kołusze się na boki. Grząsko, a w dodatku gdzieś tam kurczowo trzyma się śnieg, jakby zima nadal walczyła z wiosną. Jeden fałszywy ruch kierownicą i można się tu zatrzymać na dłużej, zapnąć w błocie po felgi. Tylko pomocy drogowej nie będzie jak wezwać, bo zasięgu brak. A przecież pan Mikołaj rany w jedynej nodze nie opatrzył sam. Matka boleściwa i jej syn czekają na wizytę.

▼ *Pan Mikołaj to twardy człowiek. Ale i on potrzebuje pomocy. Lekarze hospicyjni odwiedzają go regularnie.*

Każdy ma swój krzyż. Niebieski – prawosławny, szary – katolicki, życiowy, kaleki, samotny, obolały...
Ponieść go razem trzeba.

A pan Mirosław i Aniela prócz badania potrzebują skuteczniego jak najlepszy balsam przyjaznego słowa. Więc do przodu. Żegnając się przy rozstajnych ścieżkach, na których jedyne tu znaki drogowe: krzyż niebieski – prawosławny i krzyż szary – katolicki wspólnie wskazują jedyną, dobrą drogę.

STACJA: SAMOTNOŚĆ

Gęsty las, gdzieś tam stara wieś. Zamieszkałych domostw jak na lekarstwo, więc i z lekarstwem trudno. Trzeba

dowzić. Dom pana Mikołaja, drewniany, niewielki, od asfaltówki oddalony jest o jakieś 400 metrów. Na tyle mało, by przebiec na zdrowych nogach w parę chwil. Na tyle dużo, by bez jednej nogi startować w maratonie cierpliwości i pokonywania bólu aż do objazdowego sklepu. Bo w Kiturykach sklepu przecież nie ma. A nawet jakby był, to pan Mikołaj na swoim wózku toczyłby się tam chyba z pół dnia. Nawet żeby dojechać do objazdowego sklepu i powszedniego chleba kupić,

musi przecież odpowiednio wcześniej wybrać się z domu. Jego wózek, wspierany słabnącą siłą ramion starego rolnika, musi pokonać wertepy i rozmarzłą ziemię. Do tego potrzeba czasu, ale i jakiegoś pogodzenia z przyrodą, losem i chorobą, którego trudno szukać w wielkich miastach. W tym roku, kiedy była tu śnieżycza za śnieżycą, wyprawa zajmowała panu Mikołajowi i półtorej godziny. Brnął w śniegu wózkiem inwalidzkim metr po metr. Kupował skromnie, co trzeba. Pakował na wózek. I powrót. Po takiej wyprawie musiał długo odpoczywać. W absolutnej ciszy. Bo tu cisza przerywana jest jedynie miauczeniem starego kota, czasem jakimś programem telewizyjnym, a raz na miesiąc – wizytą kumpla, czasem odwiedzinami brata. Jednak od roku pandemia, więc



TRZEBA ZBUDOWAĆ TO

Historie o pacjentach Hospicjum Proroka Eliasza, hospicjum domowego, opisujemy w „Gościu Niedzielnym” od lat.

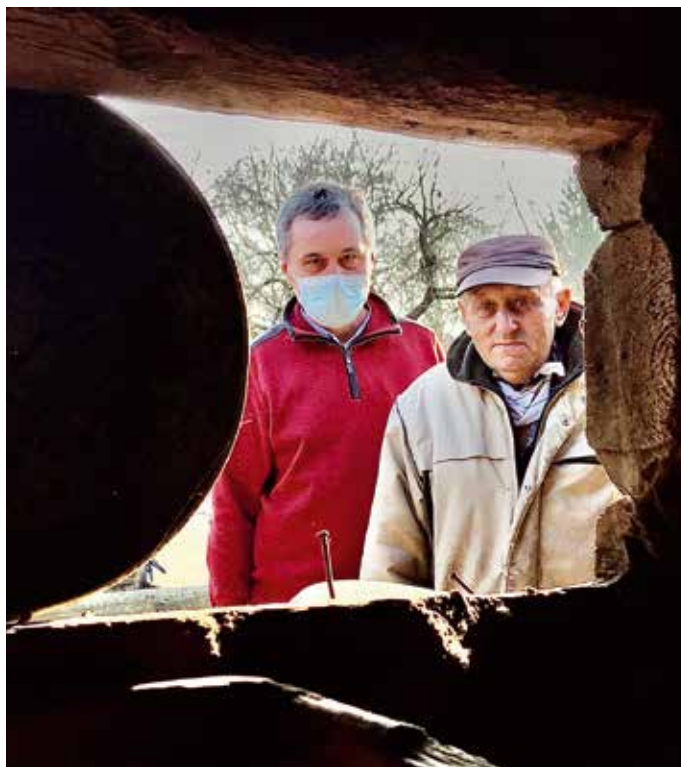
Pacjenci się zmieniają, bo chory człowiek nie ma wiele czasu, ale stale potrzeba uwagi, troski, profesjonalnej opieki. A ta opieka na terenie północno-wschodniego Podlasia w dużym stopniu opiera się na pracy lekarzy, pielęgniarek, rehabilitantów, psychologów związanych z hospicjum. Ilu pacjentów – tyle historii, z których mogłaby powstać wielka księga. Księga o wierze, nadziei i miłości. Ale i księga o samotności,

znieczulicy, być może obecnie spotęgowanej pandemią i tym, że nasza wrażliwość na ludzką krzywdę stępieja się. Czy współczesny świat – pędzący, bogacący się i zafascynowany młodocią – ma jeszcze chęć na prawdziwe historie o życiu? O życiu, które zawsze kończy się śmiercią. A współczesny chrześcijanin: czy wierzy, że po śmierci jest zmartwychwstanie? I czy naprawdę rozumie, że ostatnie chwile każdego człowieka, niezależnie od pochodzenia, wyznania, zasobności portfela, powinny być po prostu... dobre? Po ludzku dobre, co oznacza, że spędzone w poczuciu bezpieczeństwa, z życzliwymi ludźmi. Bez tego zrozumienia nie pandemia nas wytłucze, lecz

ludzie w domach siedzą, za maskami się kryją...

Regularnie przerywają ciszę jedynie wizyty doktora i pielęgniarki. Gdyby nie oni, cisza byłaby z czasem grobowa. Dziś trzeba sprawdzić, co to się dzieje pod bandażem z raną jedynej nogi. O przyszłość tej nogi walczą od miesiący pielęgniarki i lekarze Hospicjum Proroka Eliasza.

Więc w końcu dojechał doktor. Nawet próbował pomóc panu Mikołajowi, gdy ten ciągnął wózek z drewnem na opał. Jednak pomocy mu nie trzeba w tej pracy. Daje radę sam i jest z tego dumny. To jego droga, jego wysiłek, jego życie. Doktor potrzebny tu do innych zadań, dlatego Mikołaj zaprasza do środka. Sprytnym i wyćwiczonym sposobem schodzi z wózka, wciąga drewno do domku, bo wieczory jeszcze lodowate i trzeba będzie rozpalić. Wchodzi przez próg sam, wsparty na rękach i obandażowanej nodze, składa i wciąga wózek. Z sieni do dużego pokoju kilka kroków. W sam raz, by się zasapać, cią-



◀ **Doktor Paweł z panem Mirkiem w jego królestwie – gospodarstwie. Bo relacje z pacjentem to najlepsze lekarstwo.**

potrawy. Panu Mikołajowi nie potrzeba wiele. Samotna Wielkanoc nie pierwsza.

Czas na badanie. Paweł Grabowski, doktor hospicyjny, delikatnie odwija bandáže. Spadają jak całun, centymetr po centymetrze odkrywając schorowaną nogę. – Będzie trzeba dmuchać, żeby nie bolało? – doktor, swoim zwyczajem, uśmiecha się, starając się nie zadawać bólu.

– Gdzie tam boli. Nic nie boli. Krzyżeć nie będę – pan Mikołaj faktycznie nie krzywi się, nawet gdy trwa badanie. O dziwo, i jaka to radość: rana niemal się wygoiła. Nie ropieje już, skóra zaczyna się odnawiać. Doktor cieszy się chyba bardziej od pacjenta. – I uratujemy! – kwituje. – Panie pielęgniarki zrobiły tu panu, Miko-

gnąc jedyłą, chorą nogę po ziemi. Potem trzeba się wdrapać na wersalkę, i chwilę odpocząwać – aż oddech wróci do normy. Wtedy można z doktorem roz-

mawiać. Półśłówkami, ale szczerze. Po męsku. Bez żalenia się, bez zbędnych emocji. Jest jak jest. Samotne będą święta, ktoś z dalszej rodziny przywiezie

AGATA PUŚCIKOWSKA / FOTO GOSĆ



HOSPICJUM

my sami siebie wyniszczymy – stępując czułość, niszcząc relacje, zapominając o obowiązku współodpowiedzialności. Hospicjum Proroka Eliasza działa obecnie w trybie odwiedzin domowych – specjaliści przyjeżdżają do chorych, do ich domów. Robią co w ich mocy, a często i więcej, by ostatnia droga chorych była jak najmniej wyboista i jak najmniej samotna. Bywa, że udaje się tak pomóc pacjentom, tak poprawić ich stan zdrowia, że są z hospicjum... wypisywani. I cieszą się jeszcze wiele lat życia. Bywa jednak, że i tej pomocy domowej nie wystarcza, bo pacjent wymaga opieki całodobowej, a nikt z rodziny nie jest w stanie takiej zapewnić. Na Podlasiu – wyludnio-

nym i wiejskim – jest to dojmujący problem. Zresztą – patrząc realnie na polską demografię – niebawem będzie to dojmujący problem i w innych regionach. Co wtedy z nami? I tu wniosek jest bardzo prosty: w interesie nas wszystkich jest budowa hospicjum stacjonarnego na Podlasiu. To interes społeczny, ale i obowiązek moralny. Również konkretna odpowiedź na szerzącą się cywilizację śmierci. Jeśli wypowiadamy się pro-life, to bądźmy za życiem do końca. Do naturalnej, godnej śmierci, na wschodzie również w budującym się, stacjonarnym Hospicjum Proroka Eliasza.

Hospicjum powstaje w Makówce. Niewielkiej wiosce, która ma szansę stać się... cen-

trum etycznego świata. Dzięki pracy ekipy hospicjum, dzięki pieniądзом od tysięcy ludzi dobrej woli powstają już sale chorych (na razie w stanie surowym), budowana jest kaplica ekumeniczna. Będzie też miejsce na wspólne świętowanie każdej godziny życia. A co istotne, w kontekście zmian cywilizacyjnych – pracownicy hospicjum zamierzają nieść swój ogień – proroka Eliasza właśnie – do Europy. I uczyć, jak właściwie wspierać w godnym umieraniu. Ich hasło: „Z szacunku dla życia” ma szansę promieniować na świat. Z wiejskiego Podlasia właśnie...

Nie wiem, czy kiedykolwiek zwracałam się do Państwa tak bezpośrednio, wprost. Teraz

będzie pierwszy raz, bez owijania w bawełnę, bo sprawa jest cywilizacyjnie i moralnie priorytetowa: trzeba jak najszybciej dokończyć budowę hospicjum. To interes nas wszystkich. To moralna powinność nas wszystkich. Tu potrzebny jest wdowi grosz, który cegła po cegle buduje niejedne mury. Tu potrzebne są pieniądze dużego i średniego biznesu. Tu warto poruszyć ziemię i niebo, by pierwsi pacjenci mogli jak najszybciej zamieszkać w Makówce. Zróbmy ciche Alleluja. Albo i nawet całkiem głośno...

Agata PUŚCIKOWSKA

Numer KRS 0000328837 – aby przekazać 1% podatku na budowę Hospicjum Proroka Eliasza



łaju, prawdziwy cud wielkanocny. Noga jak nowa. No prawie...

STACJA: MIŁOŚĆ

Droga na lewo od przydrożnych krzyży. Drewniany domek pamiętający jeszcze przedwojnie. Matka bolesciwa, starotka prawie jak jej chata, leży w niej od czterech lat na wysokim łóżku. Łóżko wygodne, do tego materac przeciwoleżynowy – przywieźli ludzie z hospicjum. Wygodnie matce, czasem otworzy oczy. Syn, lat 70, opiekuje się nią z pełnym przekonaniem, że mama wszystko rozumie. Jest jej dobrze, choć jest na ostatniej prostej w ostatniej drodze. Dobrej drodze, o której przypomina ikona Chrystusa umierającego na krzyżu, zawieszona prawosławnym zwyczajem w rogu domu. Zajeżdża doktor Paweł. W jasnym mieszkanku jest schludnie, przyjaźnie. Doktor przywozi potrzebne środki higieniczne, by matka nie miała odleżyn. Syn sam organizuje pampersy, które zmienia matce regularnie. I delikatnie, bo wie, że trudno matce pogodzić się z tym stanem. Z szat obnażona. – Godność człowieka jest ponad wiek, chorobę. Dzięki panu matka ma opiekę najlepszą z możliwych – mówi cicho doktor, sam wzruszony tą synowską, głęboką troską. – Nie wszystkie dzieci takie. Nie wszystkie.

– Żadne to bohaterstwo. Naprawdę – kwituje syn. – Nie róbcie ze mnie bohatera od zmieniania pieluch. Zresztą, czuję się bezpiecznie pod opieką hospicjum. Kiedy potrzeba – przyjeżdżacie, wspieracie. Pielęgniarka, co przychodzi, też anioł. I dlatego mogę matką opiekować się sam, tutaj, nie muszę oddawać do jakiegoś domu opieki.

Doktor nachyla się nad starszą panią. Włosy kobiety układają się na poduszce jak srebrna aureoła. Mimo że doktor w masce, bo pandemia, kobieta wyczuwa troskę i obecność. Uchyła powieki i krótką chwi-



▲ Paweł Grabowski w środku budującego się hospicjum. Tu liczy się każda cegła, czyli każdy grosz. Więcej o hospicjum na: www.hospicjumeliasz.pl.

lę patrzy prosto w doktorskie oczy. Lekkim uśmiechem błogosławi na dalszą, hospicyjną drogę.

STACJA: WIERNOŚĆ

Aniela i Mirosław z Leonowicz. Małżeństwo z tak długim stażem, że już niczego nie trzeba tłumaczyć, o niewiele się spierać, wystarczy po prostu być. Razem, mimo nowej drogi, którą trzeba razem pokonać: drogi raka. Usadził się w krtani pana Mirosława, co spowodowało najpierw duży lęk, a potem mądry spokój: trzeba walczyć. Ramię w ramię – mąż i żona, dzieci, które dojeżdżają, gdy tylko mogą, i hospicyjna drużyna do zadań specjalnych.

Panu Mirosławowi trudno teraz mówić. Po operacji krtani w szyi ma zamontowany specjalny przyrząd – tracheostomę i filtr. Żona musi dbać, by

w domu było dość wilgotno, bo to warunkuje optymalny stan chorego. Przed panem Mirosławem jeszcze nauka oddychania przeponowego, a potem mowy przełykowej. Ale jak ktoś chce rozmawiać, będzie rozmawiał i bez słów. Można porozumieć się skutecznie, nawet jeśli głos nie dźwięczy jak dawniej. Można mówić tajnym kodem, w rytmie bijącego serca. Żona rozumie wszystko. Doktor rozumie dużo. Ale żeby naprawdę sobie pogadać, pan Mirosław pisze na karteczkach. Doktor wiadomość czyta i odpowiada spokojnym, kojącym głosem. I dowcipem, od którego wybucha śmiechem perlistym pani Aniela i uśmiecha się od ucha do ucha pan Mirek. Doktor Grabowski bada też pacjenta, sprawdza ciśnienie – w normie, i saturację – też w normie. A gdy pan Mirek „listownie” za-

prasza do obejrzenia jego dumy – gospodarstwa, idą najpierw do kuchni, potem do niewielkiego tartaku. By w końcu wspólnie podziwiać tłuste i puchate, długouchy króliki – wypasione na swojskich, najlepszych jabłkach.

Wieś podlaska. Tu groźna choroba ma twarde przeciwników: naturę, pory roku, wierność małżeńską, jak w przysiędze, aż do śmierci. I te jabłka niepryskane, zeszłoroczne, ze zdrowym robaczkiem, z własnego ogrodu, które pani Aniela wciska doktorowi w podzięce. Żeby był silny i zdrowy jak te ich króliki. Podlaska gościnność.

CICHE ALLELUJA

Wieś podlaska. Tu groźna choroba ma i używanie: samotność, samotność, samotność. Ta prywatna, osobista, gdy brakuje syna lub córki – więc boli. I ta społeczna, publiczna, a więc bezwstydną, gdy lepiej nie wiedzieć i nie wiedzieć. I obchodzić swoją, lepszą drogą podlaskie ścieżki.

Wieś podlaska. W której paliatywnie chorzy, starzy ludzie, na złość samotności, idą swoją drogą. Nawet bez nogi. Nie gadają o tym głośno, bo trudno mówić bez krtani. A gdyby nawet głos nie uwiązł w gardle, szmer skutecznie znika w zagajnikach, nie wychodzi poza stare domostwa. Do Warszawy dociera jak nikłe echo. Kto by szukał wiejskiego szmeru o chorobie w głośnym mieście?

Ten szmer jednak, jak najdroższa modlitwa, biegnie grząską drogą wprost pod podlaskie krzyże. Pod ten błękitny i pod ten szary. A jeden Jezus, cichy przecież i pokornego serca, słyszy i patrzy łagodnie. A wcale nie z góry. Jest jednym z nich. Jest z nimi i po ich stronie: z Mikołajem, Mirkiem, matką bolesciwą. Jest z cierpiącymi i z niosącymi pomoc. I z nimi zmartwychwstanie, gdzieś między podlaskimi, skrzyżowanymi drogami. I zabrzmi ciche Alleluja. ■

AGATA PUŚCİKOWSKA / FOTO GOŚC